

Agnieszka Niewińska: Polski z mamą, matematyka z tatą

Na szkołach się zawiedli albo uważają, że nikt lepiej od nich nie wychowa pociech



Na szkołach się zawiedli albo uważają, że nikt lepiej od nich nie wychowa pociech

Wychowanie swoich dzieci biorą we własne ręce. Lekcje organizują przy domowym stole albo w plenerze. Na szkołach się zawiedli albo uważają, że nikt lepiej od nich nie wychowa pociech

Jesteśmy dobrych 20 kilometrów za miastem. Dom pod lasem, na maszcie powiewa polska flaga, na podwórku skubią trawę konie. W salonie ciepło od rozpalonego właśnie kominka, na parapetach dojrzewają zerwane w ogrodzie malinowe pomidory. Przy dużym stole stos podręczników. Tym razem do matematyki. Lekcji słuchają dziesięcioletni Janek, ośmioletnia Klara i sześcioletnia Łucja.

W zrozumieniu dodawania, odejmowania i mnożenia pomaga mama –

na rękę z Wincentym, którego nauka jeszcze nie dotyczy, bo dopiero ćwiczy rączkowanie. Cierpliwie tłumaczy, sprawdza, podpowiada, jak rozwiązać zadania. I nie jest to wieczorne odrabianie zadanych w szkole lekcji, bo dzieci państwa Gesslów do szkoły nie chodzą. Rodzice zdecydowali się na edukację domową. Sami uczą własne pociechy.

Zerówka w dwa miesiące

O takiej formie edukacji usłyszałam po raz pierwszy, gdy byłam w ciąży z najstarszym synem. Przeczytaliśmy artykuł w gazecie. Wtedy jeszcze nie myślałam, żeby tak uczyć dzieci. Mąż bardziej zainteresował się tematem – opowiada Agnieszka Gessel. Testem była zerówka Janka. – Na początku trochę się obawialiśmy, wydzwanialiśmy do innych rodziców, pisaliśmy e-maile, rozmawialiśmy z państwem Budajczakami, pionierami edukacji domowej w Polsce. Ale okazało się, że obawiamy się zupełnie niepotrzebnie. Program, który był przewidziany dla zerówki, przerobiliśmy w dwa, trzy miesiące. Potem już tylko trzeba było przygotować syna, żeby umiał zdobytą wiedzę przedstawić w szkole na egzaminie – mówi pani Gessel.

Udało się z zerówką, więc rodzice zdecydowali się na objęcie domową nauką kolejnych dzieci. Od września uczyć zaczęła się sześćioletnia Łucja. – Wolę w domu, bo w szkole nie jest fajnie – wyjaśnia dziewczynka. – Wiem od siostry, która chodziła do przedszkola – deklaruje rezolutnie. – O, ciągle słyszę, jak to niedobrze było w przedszkolu! – śmieje się pani Agnieszka.

Katarzyna Karzel, mama pięciorga dzieci, w domu uczy trzech najstarszych synów: dziesięcioletniego Józia ośmioletniego Ludwika i sześćioletniego Gucia. Dziewczynki jeszcze są za małe. Na razie z zainteresowaniem obserwują braci. Dwaj najstarsi mają za sobą szkolne doświadczenia. – Wybór szkoły dzieci zawsze był dla nas ważny – mówi Katarzyna Karzel. – Zaraz po urodzeniu starszego syna zaczęliśmy interesować się przedszkolami i szkołami. W przedszkolu Józio bardzo dobrze funkcjonował, byliśmy zadowoleni. W szkole było gorzej. Dobrze radził sobie intelektualnie, ale miał problemy z emocjonalnym przystosowaniem się, nie lubił szkoły.

Ludwika nauczyciele nie potrafili zmobilizować do pracy. Po roku okazało się, że ma poważne problemy z pisaniem. Wtedy rodzice pomyśleli o edukacji domowej. Szkoła zgodziła się na próbny miesiąc

domowego uczenia. Test wypadł pomyślnie, więc od dwóch lat chłopcy, zamiast chodzenia do szkoły, zasiadają z książkami w salonie. – Nie żałuję tej decyzji. Na początku zastanawiałam się, czy wytrzymam z dziećmi dzień w dzień, bez przerwy. Ale jest znacznie lepiej, niż się spodziewałam. Moim dzieciom wyszło to na dobre, choć nie brakuje i trudnych chwil. Nadrobili zaległości. Jestem z nich zadowolona – mówi pani Katarzyna.

– Zabrakło mi tylko jednej dziesiątej do czerwonego paska – wtrąca się do naszej rozmowy Józio. – Do szkoły nie chcę wracać. W domu będę się uczyć do matury! – deklaruje dziesięciolatek.

Całość tekstu w dodatku do Rzeczpospolitej

Plus Minus